

# NA WIEŻY.

Powieść na tle życia paryskiego przez

**Fortuné du Boisgobey.**

Tłumaczył z języka francuskiego K. W.

18

Ciąg dalszy.

Modlitwa uspokoiła Szaszę; wstał, ucałował ręce Kosińskiego i zarzuciwszy ramiona na szyję Trofimowicza, posadził go przy sobie, patrzył w niego i opowiadać sobie kazał wszystko i sam mu opowiadał, czego doznał.

## X.

Żałobny śpiew księży, cichy pacierz pogrzebowego orszaku, dudnienie grud ziemi o wieko trumny, łkanie sieroce, łza przyjaciela, ot — cały epilog życia na ziemi. A tam, gdzieś w przestworzach, w słonecznych blaskach boskiego majestatu, ma zaczynać się nowe, lepsze, trwalsze, bo wieczyste. Wiara w nie, to może najwyższe szczęście człowieka.

Umarło jedno, drugie, trzecie dziecko, matka i ojciec szarpali się bólem, oblali krwawymi łzami trumienki; pustka w domu straszna, z każdego kąta wyziera żal i nic życia biednych rodziców nie rozjaśnia. Możeby zacisnęli pięści i grozili Bogu, możeby rozłukli głowy o te ściany, o które odbijał się echem głos i szczebiot zmarłych, ale wiara rzuca w pierś ukojenie i woła głośno: „Tam ich zobaczysz, tych najdroższych!“ I uśmiechnęły się do rodziców twarze najdroższe, uśmiechem dziwnego szczęścia, zadowolenia, jakieś wyanielone, a takie pełne miłości, że łzy rodzicom zastęły i ból ustał i cisza nastąpiła w duszy i uspokojenie i powtórzyli: „wszystkich zobaczymy“.

Została sierota sama, sama bez ojca, bez matki, bez siostry i brata. Takie pustkowie dokoła, to męka, to jakaś ciemnica dla serca. Ale w tej ciemnicy rozwidniło się blaskiem wiary. Wiara szepnęła sierocie: „oni stamtąd czuwają nad tobą“ i już nie była samą na świecie i już nie było koło niej pustkowie i już nie było dla niej męki. Podniosła sierota oczy do góry, jakby tam chciała ujrzeć najdroższych i w smugach światła utkwiała oczy, a oczyma duszy ujrzała błogosławiące dłonie matki i ojca i spokój w niej osiadł. „Wszakże ich zobaczę“ — rzekła jej dusza i sierota otarła łzy boleści i poszła w świat z otuchą, że „oni czuwają nad nią i błogosławią jej życie“, z pociechą, że „ich zobaczę“.

Z taką otuchą, z taką pociechą podniosła się Rozalia Verdier z grobu ojca.

Daubrac nie odstępował jej na chwilę. Gdy skończyła modlitwę żałobną, gdy podniosła się z kłęczek, podał jej ramię i szepnął:

— Pragnę ci pani bodaj w części zastąpić to, co straciłaś. Niech w tem miejscu, przy świeżej mogile, duch twego ojca pobłogosławi moim pragnieniom, niech dusza twej matki szepnie ci słowo, którego z ust twych będę wyczekiwał.

Uściskał jej rękę; jej ręka zadrgała.

Wyszli razem, a przy nich Meriadec, opodał także Saint-Briac. Przywitał się uprzejmie, a smętny był dziwnie, bo ze smętkiem skojarzył się uśmiech, jakim kraszą się usta, co wypowiedziały światu lekceważenie miłościwe i pełne rezygnacji pożegnania. Przywitał się, uściskał dłoń wszystkim serdecznie, bez przymieszki konwenansu, nie rzekł słowa i odszedł, jak ten, co myśli zaraz powrócić. Czy na ten cmentarz chciał wracać? czy tylko myśl jego ku niemu wracała?

Smutni byli i niemi z żalu i współczucia dla sieroty, więc uściskiem na uścisk odpowiedzieli. On poszedł, oni wsiedli do fiakra i pojechali na ulicę Casette.

Jakież było zdziwienie barona, gdy pierwszy dojrzał tłum ludzi koło swego domu.

— Coś się tu stało — zawołał.

— Zbiegowisko — rzekł Daubrac, wyrzawszy z karetki.

— Czy nie stało się jakie nieszczęście? Boże! może Szasza?... — szepnęła Rozalia.

Fiakier zatrzymał się przed domem.

— Co to takiego? — zapytał Meriadec, wyskakując z powozu.

— Chwycili zbójów, złodziei. Podobno prusacy, psy pruskie. Chcieli zamordować jakieś dziecko — wołał ktoś z tłumu.

— Zabili polaka — zawołał ktoś inny.

Zjawił się policyjant i nawoływał do rozejścia. Meriadec zwrócił się ku niemu z zapytaniem.

— Właśnie przed minutą zabrano zbrodniarzy

i odwieziono pod silną strażą, ale tłum jeszcze ciekaw sensacyi, bo jest tam ktoś ciężko ranny.

Wpadli wszystko troje pędem do domu.

\* \* \*

Gdy Fabrequette opowiedział całą historię z ulicy Marbeuf, wydało się wszystkim, że to opowiadanie z „tysiąca i jednej nocy“. A humoru mu nie brakło w opowiadaniu, bo lekarz ponownie zapewnił, że Kosińskiemu nic nie grozi. Sztylet wszedł pod żebro, ale nie nadwyrężył żadnego wewnętrznego narządu. Krępowała malarza obecność sędziego, ale Malverne nie długo bawił. Skoro tylko lekarz pozwolił przesłuchać Kosińskiego, spisał jego zeznania, a potem za jego pośrednictwem porozumiał się jeszcze z Trofimowiczem.

— Około godziny siódmej dam znać. Jeżeli agent policyjny was wezwie, wtedy Trofimowicz ze Szaszą i pan Fabrequette zechcecie przyjechać do klubu i czynić to, co agent policyi poleci. Brak mi słów na wyrażenie panu podziwu i wdzięczności, panie Fabrequette.

— Ej, co tam mówić o tem. To panie sędzio dopiero radość, że Prusaki pójdą na gałąź!

— Widzę, że nienawiść pańska do Prusaków nie mniejsza od pańskich zasług. Panów, panie baronie i panie doktorze, będę jutro oczekiwał w biurze o dziesiątej rano.

Malverne odszedł, a wtedy dopiero Fabrequette puścił wodze językowi.

— Doktorze, doktorku, zbawco. Gdyby nie pańskie dziesięć franków, nie byłoby absyntu, no a bez absyntu nie byłby się ocknął ten stary, a ja sam nie byłbym dał rady wszystkiemu. Ba! a pański obiadek! Panie! o wędlinach mojego rzeźnika byłbym nie przetrzymał głodu. A to moi panowie apetyt rośnie bardzo w takiej piwnicy. Br! br! zimno, ciemno.

Szasza rzucił się na szyję Fabrequettowi i ścisnął go najserdeczniej.

— Pan mi ocalił Trofimowicza, pan go śmierci wydarł. Jaki pan dobry. Ja całe życie będę o tem pamiętał.

— Ej, co tam, to nic, ale to najważniejsze, że nam Szasza żyje. Niech żyje zacy Kosiński! Vive la Pologne! Pamiętajże sobie panie Szasza, że sztylet pruski wbił się w pierś, która Rosyanina zaślaniała. Ot widzisz! Jak Polak Kosiński zaślaniał ciebie od pruskiego mordu, tak Polska zaślania Rosyę i to żelazo niemieckie, co wierci dziś ciało Polski, wderciłoby Rosyę, gdyby jej Polska od Prus nie oddzieliła. Pamiętaj to kiedyś, gdy dorośniesz i powiedz wtedy swemu narodowi, aby miał dla Polski takie uczucia, jakie ty panie Szasza masz dla Kosińskiego. Tak, tak, ja lubię wesołość, bo kiep świat i kpy ludzie na nim, z wyjątkiem barona, doktora, no i reszty obecnych, oczywiście także z wyjątkiem mojej osoby. Lubię wesołość, ale kocham prawdę i uczciwość. Pamiętaj Szasza: niech będzie prawda i uczciwość między Polską i Rosyą, a Prusaki przepadną. Co daj Boże, amen. A teraz dajcie nam jeść panie baronie. Gwałtu! Już mi się boki zapadły. No stary Trofimowicz, a co? Francya, Rosya i Polska pokonały pruskie łajdactwo, co? Niech żyją!

\* \* \*

Gospodyni tak była przerażona tem, co się stało, że się spóźniła z podaniem posiłku.

Daubrac zbadał rannego Kosińskiego i zapewnił, że za kilka dni rana zablizniać się będzie. Rozalia ożywiła się, uszczęśliwiona, że Szasza uniknął śmiertelnego ciosu. Wszyscy z uwielbieniem spoglądali na Fabrequetta i Kosińskiego. Trofimowicz wciąż ocierał łzy radości, gdy patrzył na Szaszę, a łzy boleści, gdy wspominał straszną śmierć swej pani. Na Kosińskiego spoglądał z taką wdzięcznością, z takim uniesieniem, jakie tylko w tak uczciwej a prostej duszy pomieścić się mogły. Szczególnie, że po swojemu rozmówić się może, łapał chciwie wyrazy rosyjskie, które Polak wypowiadał.

O godzinie siódmej zjawił się agent policyjny z polecenia Malverne'a. Natychmiast pojechali do klubu z agentem Trofimowicz, Szasza i Fabrequette.

## XI.

Hrabia Zweimark poszedł dziś nawet wcześniej do klubu, niż zwykle, aby odsunąć od siebie wszelkie podejrzenia. Był bardzo swobodny, nawet wesoły, mimo że zaraz w pierwszej partyi przegrał dość znaczną kwotę. Już miał drugą partyę rozpocząć, gdy stanął przy nim Malverne i rzekł z cicha:

— Może pan zechce przeprosić panów za małą przerwę i poświęcić mi kilka minut czasu?

Zweimark zmieszał się w pierwszej chwili, ale

zaraz się opanował, uśmiechnął i odpowiedział uprzejmie:

— Panowie wybaczą, zaraz wrócę. Co za szczęście, że panu będę mógł czemś usłużyć.

Mówiąc to, podawał hrabia rękę sędziemu, ale ten udał, że tego nie widzi.

— Może mi pan użyczy posłuchania w osobnym gabinecie? — rzekł Malverne.

— Najchętniej — mówił Zweimark, siląc się na spokojną, dystygowaną uprzejmość. — Jakaś sprawa bardzo poufna?

— Istotnie — odpowiedział Malverne.

Służący otworzył drzwi gabinetu, w którym nie było nikogo i cofnął się natychmiast.

— Czem panu mogę służyć, panie Malverne?

— Chciałem małego wyjaśnienia co do osób, które utrzymują, że pana znają i pragną pana zobaczyć.

— Czyż to tak było ważne i pilne, że aż w klubie...

— Przekona się pan o tem.

To rzekszy Malverne pociśnął dzwonek i we drzwiach ukazali się: Fabrequette, Trofimowicz i Szasza, a za nimi dwaj agenci policyjni.

Zweimark osłupiał, zbladł, nogi się pod nim ugięły, zachwiał się, zaczął coś bełkotać i byłby runął na posadzkę, gdyby nie agenci, którzy go podtrzymali.

— Wilhelm Kennemann! — zawołał Trofimowicz.

— Prawdziwy prusak — szepnął Fabrequette. — Zuchwały, bezczelny, tygrysi, gdy pewny siebie, gdy silny; tchórz, podły, gdy widzi przemoc.

Szasza na widok ojczyma poczerwieniał, krew biła mu do głowy i zrazu słowa wyrzec nie mógł. Żal, nienawiść, dławiły go, pętały, wreszcie rzucił się na Zweimarkę i krzyknął:

— Gdzie moja matka? Oddaj mi matkę morderco!

Trofimowicz ujął chłopca łagodnie za rękę i rzekł:

— Daj spokój. Sprawiedliwość ludzka wymierzy mu zaśluzoną karę, a Bóg go osądzi na tym świecie. Daj spokój Szasza, on nieszczęśliwy przez to, że taki zły. Wilk wilkiem, prusak prusakiem.

— Zabiłeś moją matkę! — krzyknął raz jeszcze Szasza i zalał się łzami, łkał, szlochał i uspokoić się nie mógł.

Zweimark ocknął się, wyprostował, potoczył wilczym wzrokiem dokoła, zgrzytnął zębami, sięgnął do kieszeni, migiem dobył rewolwer, strzelił w Szaszę, potem zwrócił broń ku sobie. Ale kula świsnęła ponad głową chłopca, a do siebie wypalić nie zdołał, bo go chwyciły silne dłonie Trofimowicza. Agenci broń mu odebrali.

Fabrequette przypatrywał się Zweimarkowi badawczo jak malarz, a z zadowoleniem, jakie sprawa ujęcie zbrodniarza.

— No, panie hrabio, może się gniewasz na mnie, że osmielełem się porzucić twój gościnny pałac bez pożegnania. Nie miło to panu, że zabrałem też z sobą tego starego, coś go tak uprzejmie gościł u siebie? Bardzo pana przepraszam, panie hrabio Zweimark, czy też panie Kennemann, jak panu wygodniej.

— Milcz szatanie — ryknął z wściekłością Zweimark.

— Ależ nie tak gniewnie, nie unosi się pan irytacją, bo to panu popsuje apetyt.

— Panie Fabrequette, proszę teraz powtórzyć temu panu rozmowę, którą słyszałem — rzekł Malverne.

Fabrequette opowiedział wszystko, co słyszał.

— Co pan na to? panie Zweimark.

— Tu nie sala sądowa i nie myślę żadnych dawać odpowiedzi — rzekł hardo, rozpaczliwie morderca.

— To już do mnie należy osądzić, gdzie mam przesłuchiwać zbrodniarzy — rzekł Malverne spokojnie.

— Zbrodni mi nie udowodniono, zbrodniarzem nie jestem.

— A Trofimowicza kto skrepował i wtrącił do lochu?

Zweimark milczał.

— Wspólnicy ujęci, pochwyceni na gorącym uczynku.

— Aha! Pański przyjaciel Fryc bardzo mądry, ale tym razem spudłował. Już nie będzie wdziawał peruki, przyprawiał brody i stroił się w niebieskie okulary. Ja mu to przepowiedziałem, że pójdzie na szubienicę.

(Ciąg dalszy nastąpi).